

# Ratz, Daniel

---

## Znachorka : historia prawdziwa

---

Nasze Korzenie 4, 85-90

---

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Znachorka. Historia prawdziwa

Okolo 1915 roku w małej wiosce ukrytej wśród mazowieckich lasów przyszła na świat czarnowłosa dziewczynka. Miejscowość ową tutejsi nazywali „Rogatki”, aczkolwiek faktyczną jej nazwa brzmiała „Jeżewo”. W latach międzywojennych i w czasie drugiej wojny światowej miejsce to było też nazywane „Środoń-Kolonia”. Tak owe Rogatki określali koloniści niemieccy z pobliskiej miejscowości Środoń. Pomimo funkcjonowania tych trzech nazw, dla wszystkich okolicznych mieszkańców oczywistym było nazywanie tej niedużej, w okrąg zabudowanej wsi, „Rogatkami”. Było tak może z tej przyczyny, że z jej środka rozchodziły się drogi do innych ważniejszych i większych miejscowości, a mianowicie do Krzywego Kołka z młynem, do Soczewki (zwanej niesłusznie „Moździerzem”), Sochy i Sendenia, do Białego z jeziorem, Ludwikowa, Mokrego i Kluska, do Środonia i Brzeziny Góry, do Duninowa (czyli do gminy, kościoła, sklepów i urzędów), wreszcie do matczynej wsi Jeżewo i dalej w kierunku Starego Duninowa, Wisły i Zawiśla. Było to zatem prawdziwe centrum małego wiejskiego świata.

Dziewczynka urodziła się w najuboższej z możliwych rodzinie Świerszczów, jako dziewiąty dopust Boży. Nie mieli oni nawet prawdziwego domu, bo trudno nazwać domem wykopany w ziemi dół na dwa metry głęboki, długi na dziesięć metrów i szeroki na sześć. Ściany ziemianki umocnione były wbitymi w ziemię skrobanymi kolkami-tyczkami. Z takich samych tyczek, choć dużo dłuższych, był ułożony sufit. Od wewnątrz sufit wzmocniony został kilkoma słupkami, umieszczonymi pośrodku tej jednej wielkiej izby. Na zewnątrz dach ocieplono dodatkową warstwą mchu, darni i liści, którą przyciśnięto rosochatymi gałęziami. Podłogi nie było, zastępowało ją drobne zielone igliwie sosnowe, dające świeże, żywiczne powietrze. Co tydzień stare igliwie zmiatano i wysypywano nowe. W izbie było pięć łóżek zbitych z desek na sposób niziutek stół, ponadto duży stół, szafka na naczynia, kuchnia z gliny z prawdziwym żeliwnym blatem i blaszaną rurą-kominem odprowadzającym dym na zewnątrz. Była jeszcze miska i wiadro z wodą. Wodę brano od sąsiada nazwiskiem Sztajer. U niego też trzymano jedyną ich krowę, a w jego piwnicy kilkanaście metrów małych jak orzeszki kartofli – zapas jedzenia na całą zimę.

Okolice Jeżewa, fragment mapy *Szlaki turystyczne okolic Płocka*, Warszawa – Płock 2002.



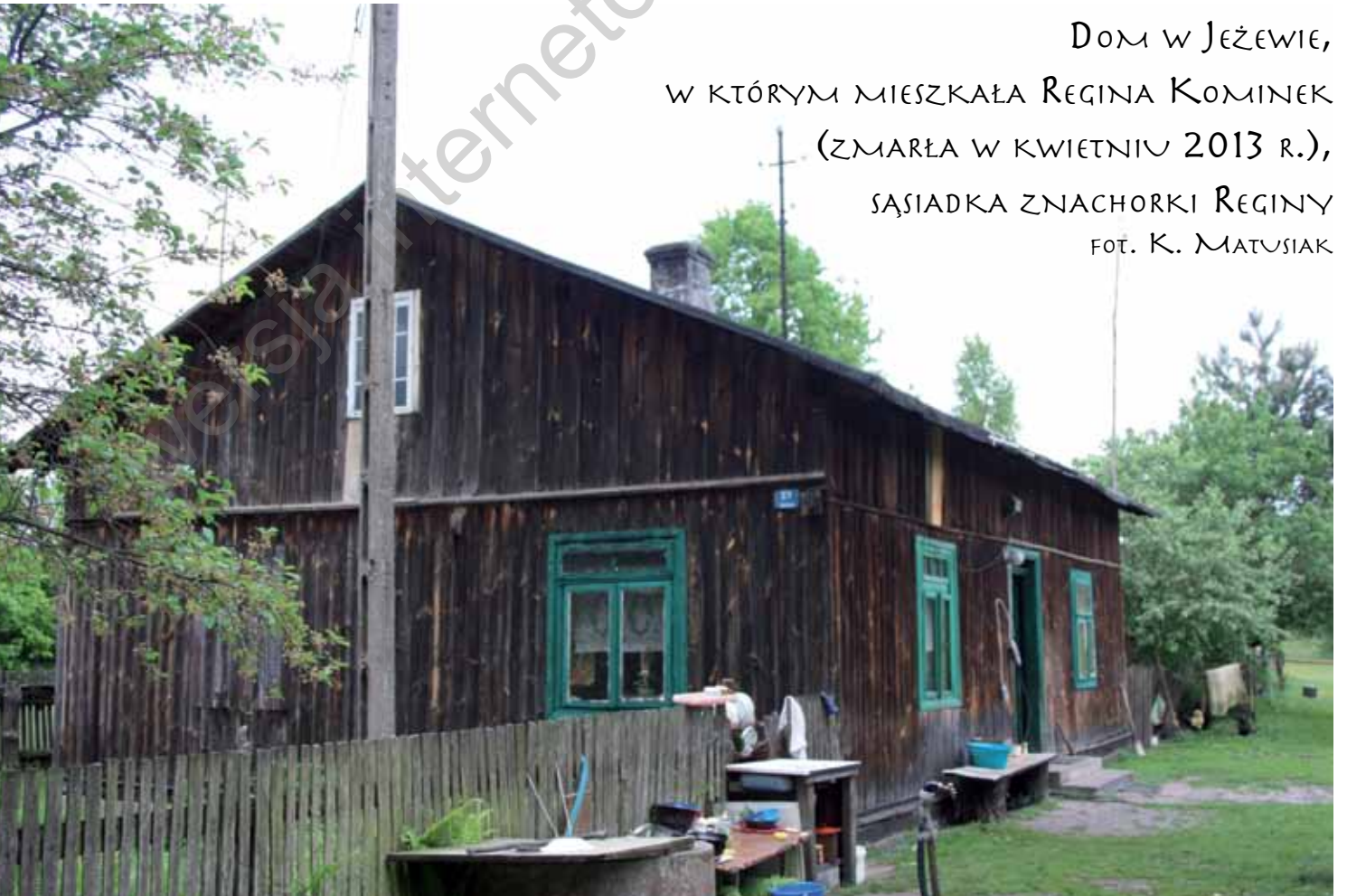
Dziewczyńce dano na imię Regina. Rosła szybko, podobnie jak i całe rodzeństwo. U biednych ludzi dzieci musiały rosnąć szybko i zdrowo, tylko bogatsi mogli sobie pozwolić na takie kaprysy jak lekarstwa, szkoła czy młodość. Regina była małym mównym dzieckiem, o jakichś dziwnych, czarnych i głęboko się w kogoś lub w coś wpatrujących oczach. Mówili na nią „Czarownica”. Z początku trochę pieszczotliwie, później raczej z powagą.

Mając 15 lat była już dorosła. Po którejś z sobotnich letnich potańcówek, przy drodze koła Mietka Wróbla, spojrzała jakoś dłużej i głębiej na dwudziestoletniego Leona Kalwasa, murarza z sąsiedniej wsi Trzcianno. Za rok wzięli ślub, bo była brzemienna. Za wymurowaną z czerwonej cegły oborę dla starej kobiety o nazwisku Aleks, Leon dostał od niej morgę gruntu – wąski, gliniasto-piaszczysty, długi na pół kilometra kawałek ziemi. Na tym wąskim pasku Leon do spółki z ciężarną żoną zaczął stawiać dwuizbowy dom. Jego ściany były konstruowane z grubszych słupków, które oplatanio giętkim i krzaczastym jałowcem i oblepiano deptaną przez Reginę-Czarownicę miękką jak masło gliną. Od zewnątrz gliniany mur Regina ozdabiała odciskami swoich dłoni skierowanych ku górze w stronę strzechy. Środek pomalowali wapnem z farbą ultramarynową. Dwa nieduże okienka dostali od dziedzica z czworacznych odzysków, drzwi zrobił Leon, skobel dostał od kowala Romańskiego z Duninowa. Posadzili dwa krzaki jaśminu i dwa krzaki bzu („besu”, jak mówiono tutaj) i kilka kęp smolinosów. Podłoga była także z ubitej gliny.

Okoliczni z jakimś dziwnym respektem traktowali ciężarną siedemnastoletnią Reginę, może z tego powodu, że wieczorami, drąc pierze u sąsiadów czy pomagając przy motaniu wełny, powiedziała coś bardzo mądrego skarżącym się na choroby u siebie czy bydła, a może z racji jej dziwnie brzmiących prośb, wypowiedianych z cicha acz rozkazująco. Mówiła na przykład: *Może spojrzalabym na krowę niemogącą się ocielić?; Pokażcie no brzuch, czy gorący – pomagam; Trzeba by wam mieć zawsze w domu łój, pęcherzyk z żółcią od świnki, dziurawca także moglibyście nasuszyć i zabić miętę – łatwiej wtedy spędzać zimne i kobiece choroby.* I zamyślała się na dłużej i czasami tylko badawczo popatrzyła na któregoś z zasłuchanych. Gdy któraś z krow nie mogła zlegnąć zbyt dużego cielaka i męczyła się biedna prawie do padnięcia, posyłano po Reginę. Przychodziła choćby w środku nocy. Przynosiła ze sobą lniane prześcieradło, kazała je dwóm babom przeciągać pod brzuchem cielnej, dwóm chłopom ciągnąć rytmicznie i delikatnie postronki uwiązane do cofniętych nówek cielęcia, a sama gładziła tylko umęczone oczy krowy. Po kilkunastu okrzykach chłopów „Razem!”, cielątko gładko wydobywało się z łona matki. Regina posypywała je bydlęcą solą i podsuwała do oblizania matce. Po kilku minutach prawie suche zaczynało niezdarne i śmiesznie stawać na nogi. Regina starannie składała prześcieradło, kłaniała się krowie i szła do domu dospać nocy.

Kiedy chorowały na gardło wiejskie dzieciaki, aż od flegmy całkiem się dusiły, kazała im pić gorące mleko z kilkoma łyżkami rozpuszczonego łożu wołowego, białego jak śnieg, gardło okładała

DOM W JEŻEWIE,  
W KTÓRYM MIESZKAŁA REGINA KOMINEK  
(ZMARŁA W KWIECNIU 2013 R.),  
SĄSIADKA ZNACHORKI REGINY  
FOT. K. MATUSIAK





Daniel Ratz przed drewnianym domem z 1903 r., w którym mieszkał brat znachorki Reginy; fot. K. Matusiak.

ugotowanymi w łupinach gorącymi kartoflami, utłuczonymi w pończosze. Pończocha – kartoflana kiszka trochę parzyła i przez kilka dni szyja była od tego czerwona, ale choroba wychodziła.

Wiosną Regina urodziła dziewczynkę, małeńką, czarną i żwawą. Nazwali ją z mężem Zosią. Na chrzcinach pojawiło się chyba ze stu sąsiadów z bliższych i dalszych okolic, przynieśli w podarkach kosze kielbasy, samogon, ktoś przytaszczył ogromną dynię, ktoś parę królików, inny czarnego kotka. Pewnie z wdzięczności, o której zwyczajnie nie umieli mówić.

I te duże zgromadzenia u Reginy weszły w okolicy w nawyk. No bo były i święta Bożego Narodzenia z Wigilią, i karnawał, i post z półpościem i wcześniejszym Popielcem. I Wielkanoc ze święconym, rezurekcją, i chodzenie po dyngusie, i majowe przy figurkach, i dwa odpusty w Duninowie (Dyjnowie), i dożynki *do pypka, bo mało kimpka*. I młócenie żyta maszyną, i wykopki kartofli z odrobkiem i ogniskami pełnymi gorących kartofli. No i przychodzili tedy na świętowanie do ubogiego domu Reginy i robili składkowe bale, bo nieodmiennie zwali te uroczystości „balami”. Na półpoście, przypadające dokładnie w połowie wielkiego postu, wieczorem wiejska młodzież (tylko chłopcy) obrzucała drzwi domostw pustymi butelkami, pecynami śniegu, zmarzłymi bryłami ziemi lub kamieniami. Celowali szczególnie w te domy, gdzie były dziewczyny do zamęścia. Poważniejszym gospodarzom wciągano na dach stodoły wóz drabiniasty, bryczkę czy sanie zwane „kuligą”. Robiono to może dla chwili oddechu i żartów dozwolonych w tym dniu ścisłego postu w rozrywkach i w jedzeniu, może aby szybciej przegonić paskudny post z domów, gdzie do panien nie można było się w ten czas zalecać. Bano się nawet otwierać drzwi, a raniem zamiatano całe sterty tłuczonego szkła czy ściągano pojazdy ze szczytów dachów.

Nie pominięto kiedyś glinianej chałupki Czarownicy Reginki. Wprawdzie córeczka Zosia nie nadawała się jeszcze do zalecań, ale pominięcie któregoś z domostw w tych tradycyjnych obrzędach uważano by za rodzaj afrontu dla gospodarzy. I tak jedna z butelek po gorzkim jak piotun piwie miast w drzwi trafiła w ścianę, wybijając w niej na wylot okrągłą niczym mała dynia dziurę. Jako że wszystkie ziemia wokół była zamarznięta, Regina przykleiła w tym miejscu, klejem zrobionym z wiśniowej żywicy, dwa w koło wycięte płyty pergaminu, od wewnątrz i na zewnątrz. I zrobiło się z tej dziury niespodziewanie dodatkowe okienko. Było trochę niewyraźne, ale coraz częściej przyciągało do siebie wzrok gospodyni. Jeszcze z łóżka widziała różowo-pomarańczowy i mleczny poranek, później przymglone sylwetki przechodzących drogą. Na krwawy zmierzch przysuwała sobie do tej pergaminowej dziury taboret i wpatrzona zamyślała się aż po zmierzch. W tym oglądaniu odchodzącego dnia nieodmiennie towarzyszył jej znieruchomiały czarny kot. Tylko zielone lśniące ślepia i plaskający rytmicznie ogon świadczyły, że posążek zwierzęcia żyje. I tak jakoś weszło w tradycję, że przychodzący po poradę czy po bezpośrednią pomoc do Czarownicy, już na wstępie mamrotali pod nosem: *Może by Reginka popatrzyła w pergaminową dziurę i co nie bądź zapobieгла*. I Reginka patrzyła i później różne rzeczy radziła, i robiła, i odczyniała, i ziele dawała do sparzania. A ziół miała moc w rogach dwóch izb, za kominem, wiszące u belek, i na jętkach na strychu. Wiedziała, kiedy i jak je zbierać, jak suszyć: czy główkami do góry, czy na dół. Czy naparzać zmieszane ze sobą, czy używać osobno. Wisiały więc wiązki dziurawca i dziewanny, piołunu i rozchodnika, szafwii i lubczyku, majowej pokrzyw i krwawnika. Były pęczki suchych czarnych korzeni żywokostu i na herbatę – jednorazowe bukieciki żabiej mięty. Z jaskółczego ziele całą butlę ciemnego jak krwawa smoła soku, kilka woreczków

zółciowych ze zgęstniałą żółcią. W kamieniakach ubite liście babki i owoce żurawiny. W gąsiorze młode pędy sosenek zalane melasą cukrową i bimbrem. W woreczkach zmielona huba i grochowiny razem ze strączkami od fasoli. Wszystkiego miała według własnego rozumu i ludzkich chorobowych potrzeb.

Wiedziała, że niektóre zioła były jednakowo dobre dla zwierząt i dla ludzi. Wiedziała też, kiedy zupełnie nie pomagały i dlaczego. Czasami wobec niektórych chorób długo milczała i patrzyła w pergaminowe okienko, by wreszcie dziwnie władczo powiedzieć: *Musicie się zmienić w sobie* – po czym gwałtownie odwracała od proszącego głowę. Mimo że uważano ją za czarownicę, była powszechnie lubiana i na jej łaskawsze spojrzenie starali się zasłużyć prawie wszyscy. Wiedzieli, że bez jej porad czy pomocy nie sprostają straszny chwilom.

Kiedy Zosia miała siedem lat, a krzewy jaśminu i bżów rozrosły się prawie w drzewa, przyszła wojna, druga światowa. Leona wzięto do wojska, podobnie jak kilku innych mężczyzn z okolicy. Żołnierze poszli na front. Wieści o nich nie było żadnych, a żyć trzeba było, mimo braku męskich rąk. Do wszystkiej pracy musiała starczać gospodyni-matka i dzieci od najmniejszego. Czasami Regina z Zosią musiały we dwie ciągnąć pług czy drabiniasty wóz, czasami

zaprzęgano do nich dwie, od dwóch sąsiadów, krowy. Było ciężko, ale kiedy to życie biednej wsi było lekkie?

Regina, jako jedna z najmądrzejszych, była pytana o przyszłość, jakąś ona będzie? Odpowiadała po długim pergaminowym patrzeniu: *Niemcy miną, my w otoczeniu lasów i góręk z piasku bezpieczni jak w kołysce. Z chłopów z wojny nie wróci prawie nikt, a jak który wróci, to będzie jak obcy. A dzieciaki? Dzieciaki jak zwykle będą chodzić na grzyby, jagody, zimną na szyszki.* Nagle, ocknąwszy się z zamyślenia, wyjaśniała jakoś i z uśmiechem dokończyła: *A w czterdziestym piątym wszystkie pójdą do szkoły i do kościoła na naukę.*

Rzeczywiście, ich wieś, oddalona od zajętego przez Niemców Duninowa o dobre cztery kilometry, prawie nie była przez okupantów odwiedzana czy kontrolowana. Czasami przejeżdżali tylko konną grupką z kilkoma psami na polowania w pobliskim Ptaśniku. Wiedzieli, że w „gliniance” mieszka czarownica z córeczką, ale niczego nie komentowali ani nie zadawali pytań, czasami nawet niektórzy podjechał do płotu, aby się napić wody, która zawsze w cebrzyku z przywiązany doń kubkiem na specjalnej ławeczce czekała na podróżnych.

Kiedyś Reginę stojącą przy przydrożnym plecionym płocie zastali Niemcy wracający jakoś ociężale z polowania. Jeden z nich trzymał coś żywego w okrwawionej płachcie. Spytała krótko: *Co to?* – *A to psa mi ciężko poharatał i połamał osaczony dzik. Pewnie nie wyżyje, ale w lesie go przecież nie zostawię,* odpowiedział Niemiec i jakoś dziecinnie otarł łzy. *Ostawcie go u mnie, za tydzień się dowiadujecie* – powiedziała stanowczo Regina. I Niemiec go zostawił, na odjeźdźnym nieśmiało powiedział, że pies ma na imię Bryan.

Zrobiła psu kąpiel w balii pełnej strąków po fasoli zalanych ciepłą wodą i przykazała mu poleżeć w niej długo i spokojnie. Zwierzę leżało posłuszenie, postępując boleśnie, tylko przez ciało przebiegały mu – niczym drobna fala na jeziorze – dreszcze. Ugotowała mleka z wiązką konopi, w drugim garnku prażyła do rozgotowania skrobanego czarnego korzenia żywokostu. Wlewała mu do pyska na przymus ciepłe konopne mleko, cały litr. Następnie wyjęła z balii słabego, lecącego prawie przez ręce, czworonoga, osuszyła przecieradłem. Susząc, macała kostki psa, niektóre z nich prostowała, niektóre nastawiała, kierując się skomleniem Brytana. Osuszonego okładła szarą, gorącą i szybko twardniejącą breją korzenia żywokostu. Szczególnie oblepiła cztery jego łapy, a i na żebra też przyłożyła po placku. Po dwóch godzinach masa stwardniała na cement. Regina przykryła stworzenie wyleniałą skórą z cielaka i pies zasnął. Po dwóch dniach, przepajany miseczkami wody, próbował wstawać, przeszkadzał mu w tym jednak twardy, jakby z cementu zrobiony, żywokostowy pancerz. Kobieta stawiała go, jak jakiś szary posąg na sztywnych nogach, na kilka godzin dziennie, i tylko merdający ogon i przymilnie patrzące oczy w pokiereszowanym pysku świadczyły o życiu posążka.

Po tygodniu Regina wystawiła psa na drogę, aby witał pana. I pan przyjechał, z radością wyczałował psa i Czarodziejkę. Kazała

## FIGURKA W JEŻEWIE; FOT. D. RATZ



## ROZSTAJNE DROGI W JEŻEWIE

FOT. K. MATUSIAK



mu poczekać jeszcze z tydzień, po czym zgolić psu żywokostowy gips razem z sierścią tuż przy skórze. Zaglądał później Niemiec z Brytanem dość często do Reginy. Pies prawie wrócił do poprzedniej sprawności, tylko przednią łapę miał cokolwiek podkurzoną. Tej używał przeważnie do stukania, jak człowiek, w zamknięte drzwi. Ale i na trzech potrafił zgonić niejednego szaraka i wytopić sporo.

Minęła wojna jak długa niekończąca się zima pełna zmartwień i beznadziei, ale Leon nie wrócił. Nie wiadomo było nawet, czy poległ, czy też los zaniósł go w inne strony świata. Czarownica Regina witała wolność z Zosią, czarnym kotem, zapachem kwiecia wokół domu i życzliwością zubożałych o mężów sąsiadek i kobiet z bliższych i dalszych okolic.

Zaraz po wojnie dość niespodziewanie pojawili się u Reginy jej bliscy – bo że Świerszczów – kuzyni z Łodzi. Mieli duże mieszkanie w centrum miasta, obydwójce pracowali w fabryce włókienniczej, on był tam nawet brygadystą. Jednego, czego nie mieli, to dzieci. Zaproponowali, aby Zosia zamieszkała u nich, posła ją do szkoły, później do fachu i będzie miała lepsze życie, jak tu na Rogatkach. Matka długo patrzyła w pergaminowe okienko, po czym krótko powiedzia-

ła: *Niech jedzie*. Poglądziła dziewczynę po czarnej główce, przytuliła, ucałowała w czoło i Zosia pojechała do Łodzi. Przyjeżdżała później co wakacje do matki w odwiedzin, wraz ze swoją blondwłosą koleżanką Lilą. Miejscowi nazywali je albo „Łóckierki”, albo „Anioły”. Do modnie ubranych i pięknie wyglądających pańienek zalecali się wszyscy okoliczni kawalerzy. Obydwie wyszły jednocześnie za mąż w Łodzi, jednocześnie miały dzieci i były nauczycielkami. Kiedy jakoś nagle i przedwcześnie zmarła Lilka, Zosia zaczęła coraz częściej zaglądać do kieliszka. Przytyła i zrobiła się sentymentalna.

Do wyzwolenia wołano na Reginę różnie: „Regińcia”, „Babka”, „Znachorka”, „Kuma”, a Niemiec, ten od psa, mówił nawet na nią „Królowa Lasu”. Po wojnie, może z tego powodu, że praktycznie była wdową po Leonie, nazywano ją krótko „Kalwaska”. I Kalwaską została już do końca życia. Posmutniało jej życie, coraz mniej potrzebowali jej sąsiedzi w leczeniu czy poradach. Do gminnego Duninowa sprowadzono na etat felczera i pielęgniarke, objeżdżał także wieś kontroler-weterynarz z Gostynina i szczepił co popadło. Mało miała zająć Regina-Kalwaska, ot ubierała przydrożną kapliczkę, zajrzała na wieczór do sąsiadów, gdzie przy czarnej kawie Dobrzyńce i plackach z kartofli, zwanych „chlapoki”, pieczonych na blasze kuchennej, gwarzono do północy. Nadal suszyła coraz mniej potrzebne zioła i warzywa syropy. Od kiedy sprowadzono na jej wieś elektryczność, mniej przesiadywała przy pergaminowym okienku. Narzekała, że od prądu przestała daleko widzieć.

Największą radość sprawiła jej kiedyś Zosia przywoząc w prezencie małe jak paczka zapalek radjiko Koliber. Radio było na baterie i córka przywiozła ich cały zapas (wyczerpane kładła Kalwaska na kuchenny ogrzewalnik, gdzie wygrzane służyły nadal jak nowe). Wystarczyło tylko podkręcić okrągłą tarczką, by usłyszeć prawdziwe głosy ludzi i śpiewy oraz muzykę ze skrzypcami i harmonią – wszystko. Zaczęła Kalwaska uważać to radio za rodzinę i cały świat. Bo pewnie tak to naprawdę było. Czasami, będąc na „chałupkach” u Kominków, Baranowskich czy u Felki Redlińskiej zwanej „Psitry”, mimowolnie zaczynała się spieszyć do domu, aby tam słuchać do woli wszystkiego, co nadawało radio. O dziwo, w tym zawziętym słuchaniu radia zawsze towarzyszył jej kot, choć wcześniej często zasypiał przy dźwiękach muzyki czy ludzkich głosów.

Mimo upływu lat, Kalwaska nigdy nie chorowała, wprawdzie posiwała i jakby trochę zrobiła się mniejsza, ale chód, gesty, mowę miała zawsze jednak energiczną i zdecydowaną. Może tylko coraz częściej *wchodziła w siebie*, jak mawiali sąsiedzi. Rzeczywiście, coraz częściej zamyślała się siedząc na ławeczce przy drodze, przed pergaminowym okienkiem, na skrzyni u sąsiadów czy słuchając radia. Może nawet nie było to zamyślenie, a tylko jakieś zamarzenie o zmierzchu czy powolne odpływanie. Kiedy nie pojawiła się przez dwa kolejne wieczory u swojej sąsiadki Kominkowej – także Reginy

– ta zaniepokojona poszła do niej i wszystko stało się jasne. W łóżku, z przyłożonym do ucha radiem z wyczerpaną baterią od całodobowego grania, leżała chłodna już, ale lekko uśmiechnięta, Regina Kalwas z domu Świerszcz. Dobry, życzliwy i pomocny wszystkim człowiek. Regina, Reginka, Czarownica, Znachorka, Pańcia, Babka, Królowa Lasu postanowiła zwiedzić i poznać dalsze okolice anizeli jej powszednie strony.

Na pogrzeb Reginy przyjechało i przyszło niespodziewanie dużo ludzi, chyba ze trzysta. Samochodami, bryczkami, ogumionymi wozami i pieszo. Dla trumny uszykowano specjalnie ukwiecony bzami, jaśminem i kaliną ogumiony dwukonny wóz bez zakładek. Okazał się niepotrzebny, gdyż po kilkuminutowej naradzie zgromadzonego chłopstwa w różnym wieku trumnę dźwignęło sobie na ramiona czterech pierwszych. Zmieniali się następnie co czterysta metrów i ani razu nie zabrakło chętnych do niesienia. I płynęła Regina na barkach przyjaznych jej ludzi przez prawie cztery kilometry do kościoła i cmentarza w Duninowie. Z okolicznych domostw wychodzili starzy ludzie z ostatnim pożegnaniem dla Kalwaski. *Szczęśliwej drogi Reginka* – mówili, głosząc wiek. W kondukcie

obok córki Zosi z rodziną pojawił się czarny kot, któremu Regina jakoś nigdy nie nadała imienia. Szedł pracowicie, przemierzając na sztywnych łapkach piaszczysty szmat drogi. Pochowano ją w cichej części cmentarza obok kilkusetletniej lipy pamiętającej chyba jeszcze litewskiego Jagiełłę. Na grobie i wokół niego wyrósł łań marciników przez nikogo nie sadzony i nie zasiany. I ozdabiają te drobne fioletowe kwiaty całą wiosną, latem, jesienią, aż do twardej zimy to miejsce, gdzie utrudzona znachorka Regina śpi snem wiecznym. Podobno latem w wysokich krzewach marciników wygrzewa się jakiś czarny kot. Miejscowi mówią, że to prawda, inni – że bajka. Może to i bajka, ale kto z nas nie lubi bajek czy kotów.

Gliniany domek Reginy na Rogatkach powoli zaczął się rozpaść, rozmoczyły go deszcze, rozkruszyły czas i wiatry. Wąski i długi na pół kilometra pasek ziemi przejęli sąsiedzi i wkrótce zaorali ruinę. Ocalał tylko ogromny krzak jaśminu i krzak bzu, rosną tam od przedwojnia na kilku skibach jakby jaśniejszej w tym miejscu ziemi. Oracze konni czy traktorowi omijają łukiem te drzewa-krzewy, aby nie naruszyć korzeni i miejsca. A one co roku darzą okolicę – wiosną i latem – kwiatami i zapachem. ■

PODMOKŁE ŁĄKI W JEŻEWIE; FOT. K. MATUSIAK

